

Pałestyńska tragedia i izraelski faszyzm

7 lutego 2020

„Cały naród z nami!”, „Aneksja teraz!”, „Izrael rządzi!”- napisy na samochodach i traktorach żydowskich kolonistów, którzy po ogłoszeniu przez Trumpa „Dealu wieku” wdarli się do okupowanej doliny Jordanu, jasno oddawały ich stan ducha. Cały Izrael był tego styczniowego dnia w euforii, której towarzyszyły uczucia wielkiej potęgi i bezkarności. Da się to porównać tylko z radosną dumą narodową po podbiciu reszty Palestyny oraz ziem egipskich i syryjskich w 1967 r. Ale czy za tym entuzjazmem nie kryje się pułapka?

Niedawno Donald Trump uznał w imieniu USA okupowane syryjskie Wzgórza Golan za terytorium Izraela

Do czasów premiera Icchaka Rabina, zamordowanego przez żydowskiego neonazistę w 1995 r., tylko jeden premier Izraela – Mosze Szaret, który rządził krajem w połowie lat 1950. – nazwał Palestyńczyków „ludźmi”. Szaret naruszył to narodowe tabu tylko raz, ale było jasne, że nie mógł dłużej sprawować tak eksponowanego stanowiska. Niedawno Middle East Eye zrobił w Tel-Awiwie wywiad z jego 92-letnim synem Jakowem, dawniej gorącym syjonistą, który do dziś pamięta Nakbę – wielką czystkę etniczną z 1948 r., która umożliwiła powstanie Izraela. Dzięki wymordowaniu i wygnaniu Palestyńczyków, powstało wtedy w zachodniej Azji żydowskie państwo kolonialne.

„Nie boję się powiedzieć, że dzisiaj traktujemy Palestyńczyków jak naziści. Oczywiście nie mamy komór gazowych, ale tę samą mentalność. To nienawiść rasowa. Są traktowani jak podludzie” – mówi Jakow Szaret. W 1948 r. uczestniczył w zaborze Negewu, na południu dzisiejszego Izraela. Żydzi przejęli wtedy 247 palestyńskich miasteczek i wsi, a tych mieszkańców, których nie wymordowali, deportowali do Strefy Gazy, dziś regularnie

bombardowanej. Ojciec Jakowa chciał być „lewicowy”, była to jeszcze epoka kibuców, lecz już wtedy wysniony socjalizm miał być narodowy. „Mój ojciec i inni myśleli jeszcze, że Palestyńczycy sprzedadzą swój honor za trochę żywności. To było piękne marzenie, kosztem innych. A kto się z tym nie zgadzał stawał się zdrajcą.”

Powrót marzenia

Ta sama myśl towarzyszy „Dealowi wieku”, ponad 70 lat później. „Deal” został zawarty między prezydentem Donaldem Trumpem a premierem Benjaminem Netanjahu – pierwszemu towarzyszył jego żydowski zięć i syjonista Jared Kushner, który przygotował papiery, a drugim gen. Benny Gantz, kat Strefy Gazy, który chce zostać premierem Izraela zamiast Netanjahu po wyborach przewidzianych na początek marca.

Czołowa dwójka, w świetnych humorach złożyła Palestyńczykom propozycję nie do odrzucenia, tak jednak wymyśloną, by nie mieli innego wyjścia, jak ją odrzucić. Zresztą nikt ich nie pytał, czego chcą. Ów teatr absurdu rozgrywał się wokół planu, który Netanjahu przedstawił już w 2012 r., ale wtedy nikt go nie brał poważnie.

Wielki Transfer

Są w nim jednak pewne modyfikacje. Ponieważ wszystko w tej sprawie ma związek z wyborami w Ameryce i Izraelu, Netanjahu dołożył do tego ultimatum „transfer” – jak izraelscy politycy skromnie, niemal sportowo, nazywają masową deportację Palestyńczyków „za granicę”. Chodzi na razie o tych, którzy żyją w Izraelu stanowiąc 18-procentową mniejszość – to po prostu resztki po Nakbie, która ma izraelskie obywatelstwo, mieszkająca z reguły na północy kraju.

Netanjahu już dwa razy w zeszłym roku nie był w stanie skompletować rządzącej koalicji, gdyż jego b. minister obrony

Awigdor Lieberman, szef partii Nasz Dom Izrael reprezentującej Żydów przybyłych z Rosji uważa, że rząd niepotrzebnie toleruje gojów w państwie żydowskim i nie chce przystąpić do rządu, dopóki czegoś w tej sprawie nie zrobi. Netanjahu uważa, że na Wielki Transfer jest jeszcze za wcześnie, lecz, by skusić Liebermana i jednocześnie uniknąć więzienia za korupcję (premierostwo da mu immunitet), dopisał do „dealu” deportację – na początek – 350 tys. izraelskich Palestyńczyków do teoretycznego „państwa” palestyńskiego na okupowanym Zachodnim Brzegu Jordanu. Oczywiście ci ludzie zostaną pozbawieni obywatelstwa.

Kleks na mapie

Według skrajnie prawicowego rządu izraelskiego i planu zaklepanego przez Trumpa, Palestyńczykom powinno wystarczyć 15 proc. Palestyny, choć wskutek kolonizacji na jej terytorium mieszka tyle samo Żydów. Na mapie ewentualne „państwo” palestyńskie wygląda jak bezładny kleks: ma się składać z ośmiu większych gett i piętnastu małych, połączonych tunelami, by nie przeszkadzać żydowskim kolonistom. To „państwo” – pilnowane przez izraelskie garnizony – ma być całkowicie pozbawione obrony i suwerenności w zamian za trochę pieniędzy podatników amerykańskich (czy innych), które Izrael będzie mógł mu pożyczać.

Tak Izrael zagrabił ziemię Palestyńczyków – proces jest kontynuowany

Ciekawe, że w styczniowym ogłoszeniu b. mało mówiono o pieniądzech. W zeszłym roku na konferencji w Bahrajnie padła jednak z ust Jareda Kushnera liczba 50 miliardów dolarów „dla Palestyńczyków”, by zachęcić ich do „dealu”. Trump wolał o tym nie mówić, bo to suma, która ma być rozpisana na 10 lat i podzielona na trzy części: trzeba však jeszcze opłacić sąsiadów: egipską dyktaturę wojskową i jordańską monarchię, by przełknęły „deal”. A Izrael potrzebuje pieniędzy, gdyż otwarto

mu drogę do aneksji ziem okupowanych rozpościerających się poza małym archipelagiem gett-bantustanów przewidzianym na palestyńskie „państwo”.

Aneksje i apartheid

Według „dealu”, Izrael może zaanektować resztę okupowanego Zachodniego Brzegu (dolinę Jordanu i ponad 150 nielegalnych żydowskich kolonii – dzielnic, miast i wsi z ziemią) natychmiast, podczas gdy Palestyńczycy mogą doczekać się swego „państwa” za cztery lata, pod warunkiem, że będą bardzo grzeczni: uznają suwerenność Izraela na ich ziemi, rozbroją się, obiecują uroczyście, że zapomną o zbrojnym ruchu oporu i dadzą się zamknąć w gettach. A co z tymi Palestyńczykami, którzy zostaną przyłączeni do Izraela? Na razie przewidziano dla nich los tych, których państwo żydowskie już zaanektowało, np. z palestyńskiej, wschodniej Jerozolimy, czy syryjskich Wzgórz Golan: będą podlegać izraelskim przepisom wojskowym, będą płacić Izraelowi podatki, ale nie będą mieć żadnych praw politycznych (zakaz jakiegokolwiek udziału w wyborach), ani zresztą innych, jak swoboda poruszania się itd.

Izraelski reżim apartheidu i okupacji utrwali się więc poza palestyńskimi gettami, które staną się tym, czym jest dzisiaj zamknięta Strefa Gazy, gdzie mieszkańcy mogą najwyżej rzucać się na druty i ginąć, jeśli myślą o wyjściu z pułapki. Wraz z „dealem” Palestyńczycy znaleźli się w jeszcze trudniejszej sytuacji politycznej niż w 1939 r., gdy brytyjscy okupanci po trzech latach walk krwawo zmiażdżyli palestyńskie powstanie narodowe. Na części Zachodniego Brzegu istnieje Autonomia Palestyńska powstała pod koniec ub. wieku na skutek porozumień z Oslo, ale pozostaje całkowicie bezsilna wobec codziennych konfiskat ziem, wyrzucania jej mieszkańców i obcej okupacji wojskowej.

Autonomia i Trzecia Świątynia

Przewodniczący Autonomii Mahmud Abbas, ostatni żyjący założyciel Organizacji Wyzwolenia Palestyny, stary, chory i mocno niepopularny, wystrzelił właśnie swe ostatnie naboje: ogłosił w Kairze, że zrywa wszelkie stosunki z imperium i Izraelem, w tym współpracę w dziedzinie bezpieczeństwa. Ale nie rozwiązał Autonomii, a owe rozwiązanie współpracy policyjnej ogłaszał już wcześniej dwa razy, by nigdy go nie wprowadzić w życie: inaczej nie mógłby wyjść ze swego biura. Jego naród nim gardzi, jako pomocnikiem okupanta, jak niemal wszystkimi figurami Autonomii – autonomiczna policja i Izraelczycy bardziej chronią ich przed wrogością upokorzonych rodaków, niż przed „terroryzmem”. Abbas ma jednak argument: istnienie Autonomii daje Palestyńczykom jakąś obecność na forum międzynarodowym.

Wbrew nadziejom Trumpa, Liga Arabska odrzuciła „deal”, podobnie jak Palestyńczycy. Nawet proamerykańskie dyktatury Zatoki musiały powiedzieć symboliczne „nie”. Nie z powodu jego smutnej groteskowości, odmowie powrotu uchodźców, czy planów masowej deportacji, lecz jednego małego przepisu: że na Esplanadzie meczetu Al-Aksa i Kopuły Skały w Jerozolimie, budynków mających półtora tysiąca lat i świętego miejsca islamu, będą mogli się modlić „osoby wszystkich religii” (czyli Żydzi), podczas gdy muzułmanie – tylko za pozwoleniem władz okupacyjnych. Ta propozycja to mniej prezent dla żydowskich ekstremistów, niż dar dla amerykańskich wyborców Trumpa, chrześcijańskich syjonistów, którzy wierzą, że kiedy Izraelczycy zburzą święty meczet i odbudują w tym miejscu świątynię Heroda, nastąpi wielka wojna i drugie przyjście Jezusa, alleluja. Kwestia zaboru ziemi i zniewolenia jej mieszkańców znowu będzie przedstawiana jako „konflikt religijny”.

Między chucpą a pułapką

A co z Izraelem? Jest jednak łyżka dziegciu w powszechnej radości z „dealu” i aneksji, spowodowana przykrą perspektywą nieprawdopodobnego „kleksu” palestyńskiego. Zwolennicy Wielkiego Transferu, jak minister obrony Naftali Bennett i inni podobni fani „dokończenia Nakby”, nie mogą jej ścierpieć, gdyż takie „państwo” zabierałoby jednak przestrzeń życiową dla żydowskich kolonistów. „Nie oddamy ani jednego centymetra ziemi” – głoszą, jakby już byli jej właścicielami.

Z kolei inni izraelscy syjoniści, choć są tak samo zwolennikami „czystości narodowej” kraju, zwracają uwagę, że jeśli pominąć „transfer” i wiecznie wyznawać rasistowski apartheid, nikt w końcu nie będzie uważał Izraela za państwo demokratyczne (co się jeszcze zdarza), a gdyby dać Palestyńczykom prawo głosu, to kiedyś przegłosują Izraelczyków. W obu przypadkach to koniec syjonistycznego marzenia. Jakby w istocie Trump dał Izraelowi zatruty prezent.

Na razie jednak panuje w Izraelu wielka narodowa radość i optymizm. Tacy ludzie jak Jakow Szaret należą do niewielkiej mniejszości, najwyżej 10 proc. społeczeństwa. „Celem syjonizmu było wyzwolenie Żydów z antysemityzmu, dając im własne państwo. Ale dzisiaj państwo żydowskie poprzez swoje kryminalne zachowanie jest jedną z najważniejszych przyczyn tego przekleństwa. (...) Należy odróżniać antysemityzm od antysyjonizmu – Izrael nie może być poza krytyką. Jestem zdumiony jak świat zewnętrzny akceptuje izraelską propagandę. Naprawdę nie wiem, dlaczego ją traktują poważnie” – mówi Jakow, stary Żyd z Tel-Awihu.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu